

TECHNOKRACJA A CODZIENNOŚĆ

Czy istotnie pojęcie „technokracja” stanowi czyjś wy-
mysł, zmierzający do po-
różnienia inteligencji tech-
nicznej z klasą robotniczą?
Takie zdanie bywa wyrażane (m.
in. przypominało je podczas niedaw-
nej dyskusji w Stowarzyszeniu
Dziennikarzy Polskich na temat
„Technokracja a demokracja robot-
nicza”) w środowisku inżynierów i
techników.

W artykule pt. „Co z tą techno-
kacją?” („Głos Tygodnia” 16 bm),
była mowa o burżuazyjnej koncep-
cji technokratyczno-elitarystycznej,
której suma poglądów zmierza do
uzasadnienia rzekomej nieuchron-
ności — w skali świata — koncen-
trowania władzy w ręku wąskiej
grupy ludzi; przy wyraźnym spad-
ku znaczenia czynnika społecznego.
Ma to być pono nieodłączny atry-
but czasów wielkiego postępu tech-
nicznego.

Z stanowiska marksistowskiej
krytyki, tego rodzaju wizja
stanowi przejaw jednostron-
nego widzenia procesów spo-
łecznych. Nad burżuazyjnymi
teoretykami, zajmującymi się spra-
wami przyszłości, ciąży determi-
nizm techniczny. Ma to coś wspóln-
ego z fascynacją jedną tylko strona
medalu.

O ile w jakimś stopniu koncepcja
technokratyczno-elitarystyczna mo-
że znaleźć odniesienie do ustroju
kapitałistycznego, o tyle rozciąganie
jej także na warunki panujące
w systemie socjalistycznym — jest
nie do przyjęcia. Błąd polega na po-
mijaniu daleko idących różnic w
zakresie bazy, różnic ekonomicz-
nych i społecznych pomiędzy świa-
tem kapitalizmu a państwami syste-
mu socjalistycznego.

A różnice są przecież niezmiernie
głębokie, przesądzające o tym, iż w

naszych warunkach ustrojowych po-
stęp techniczny może i powinien
iść w parze z postępowaniem społecz-
nym. Argumentów, przemawiających wła-
śnie za takim kierunkiem rozwo-
wym, jest sporo. Przede wszystkim
w warunkach socjalizmu wciąż po-
stępuje — i to burzliwie — rozwój
kultury i oświaty; nasze społeczeń-
stwo stopniowo staje się tymi,
gdzie cenzus średniego wykształce-
nia stanie się powszechny. Jest to

Sprawy dnia^(II)

istotny element postępu społeczne-
go, sprzyjający współzręczności po-
stępu technicznego.

Niemniej ważne jest i to, że po-
stęp techniczny niesie z sobą
zwiększenie ilości wolnego
czasu, jakim ludzie pracy już dys-
ponują, czy będą dysponować w
ciągu najbliższych lat. O tym, że po-
stęp techniczny nie jest przeciw-
stawny postępowi społecznemu,
świadczą też znaczenie upowszech-
niania maszyn, mechanizujących li-
czne prace biurowe.

Nie oznacza przeto automatyzacja,
jak głoszą to zwolennicy burżu-
azyjnej koncepcji technokratyczno-
elitarystycznej, kolejnego kroku na
drodę eliminowania kontroli spo-
łecznej nad aparatem urzędniczym,
nad zarządzaniem. Przeciwnie: w
naszych warunkach ustrojowych
można zapatrywać się z sporą dozą
 optymizmu na pozytywne efekty

Mimo trząsk w słuchawce telefonicznej ton głosu nie budził
wątpliwości — pani Maria Szypowska naprawdę się cieszyła, że
odwiedzi ją ktoś z Poznania i nie przez grzeczność mówiła o
swoim sentymencie dla naszego miasta. Gdy w kilka dni później w
Falency, na krańcach wielkiej Warszawy, państwo Szypowskie witali
mnie w swoim domu jak wita się oczekiwanych przyjaciół, pomyśla-
łem, że zawdzięczać to mojej poznańskiej wizytówce. Od razu pyta-
łem też, czym Poznań zasłużył sobie na tyle względów. W odpowiedzi
pani Szypowska wymieniała więzi rodzinne, liczne, żywe przyjaźnie i to,
że właściwie poczuła się pisarzem od momentu, kiedy jej debiutancki
tomik wierszy „Próba spojrzenia” (rok 1958) uzyskał wyróżnienie na
Poznańskiej Jesieni Poetyckiej.

Twoje zdanie
o książce

Społeczna wielka synteza



Na wypowiedzi o książce Marii
Szypowskiej „Wiadro pełne nieba”
czekamy trzy tygodnie, to jest do
14 kwietnia br. Za najlepsze wypo-
wiedzi przewidujemy nagrody w bo-
nach książkowych: I — 300 zł, II —
200 zł, III — 100 zł.

— Rozumiem, że pisarz rodzi
się dwa razy: raz jak wszyscy
śmiertelni i powtórnie w chwili
uświadomienia sobie, że jest pi-
sarzem. Możemy więc uważać,
że traktuje pani Poznań jako
miejsce drugich narodzin.

— Nie koniec na tym — słyszę —
bo jeszcze Zakłady HCP pierwsze
zgłosiły moją powieść „Wiadro peł-
ne nieba” do nagrody Centralnej
Rady Związków Zawodowych.

— Właśnie pragnę panią zapy-
tać o genezę tej powieści.

— Opolszczyznę i sam Kędzier-
zyn poznałam dość dawno temu,
zbierając z mężem materiały do al-
bumów fotograficznych.

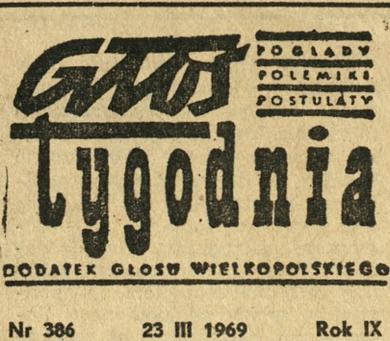
(M. Szypowska wraz z mężem, zna-
nym fotografikiem Andrzejem Szypow-
skim wydała albumy Gniezna, Opola,
Jeleniej Góry, Paczkowa, Nysy i Legni-
cy — przyp. W. B.).

— W Kędzierzynie dostrzegłam sze-
reg fascynujących pisarza zjawisk,
które najkrócej charakteryzuję tak:
oto w państwie istniejącym tysiąc
lat rodzi się zupełnie nowe spo-
łeczństwo. Skorzystałam ze stypen-
dium CRZZ i wybrałam się do Kę-
dzierzyna na cały rok.

— I znalazła pani literacką
analogię między procesami che-
micznymi a procesami społecznymi.

— Oczywiście analogię wyłącznie
literacką. Z Kędzierzyna zrósł się
termin „wielka synteza”, termin
techniczny. Ten termin odpowiada
także zjawiskom społecznym. Lu-
dzie, którzy przetrwali tu lata nie-
woli z różnych stron kraju — stop-
niowo przełamują wzajemne nie-
chęci i uprzedzenia, coraz lepiej
zrozumieją, że jednostka znajduje azy-
l w zbiorowości, a nie w egoistycznym,
wyzolowanym światku. W szerszym
znaczeniu — podobnie rzecz się ma
w całej Polsce; zapewne wszędzie
tak jak w Kędzierzynie przemysł
przyspiesza społeczne reakcje, więc
— postępując się znowu terminolo-
gią chemiczną — spełnia funkcję
katalizatora.

Dokończenie na str. 2



upowszechniania automatyzacji w
działalności biur i urzędów jako
czynnika upraszczającego szereg
operacji, a nadto — umożliwiające-
go właśnie szybkie i sprawne włą-
czanie się czynnika społeczno-kon-
trolnego. Czy w naszych aktualnych
warunkach mamy do czynienia z
koncepcjami technokratycznymi?
Potwierdziła to m. in. przypomniana
na wstępie wymiana poglądów w
SPD. Zdaje się nie ulegać wątpli-
wości, że codzienna praktyka niesie
dość liczne przykłady tego, co pro-
fesor Sylwester Zawadzki określa
mianem „odprysków poglądów tech-
nokratycznych”.

Być może ten i ów nosiciel ta-
kichże poglądów byłby wręcz za-
skoczony, gdyby uzmysłowił mu, że
je rozpowszechnia. Są bowiem konce-
pcje technokratyczne przedstawia-
ne w naszym codziennym życiu ra-
czej nie w postaci pełnych teorety-
cznych formuł. A przecież ciągoty
technokratyczne przejawiają się u
nas nie tak rzadko i nie tak słabo
— przede wszystkim w postaci ten-
dencji do dominacji czynnika zawo-
dowo-urzędniczego nad czynnikiem
społecznym.

W codziennej praktyce mamy do
czynienia z rozmaitymi przejawami
tych tendencji. Na przykład w fab-
ryce któryś z ekonomistów, bądź in-
żynierów, obaj, bądź grupa ludzi
występują z wątpliwościami, „czy
to jest słuszne, by niefachowiec kon-
trolował fachowca”.

Znamy z praktyki także inny
wariant takiego negatywnego
stanowiska wobec kontroli spo-
łecznej. Dostrzec go nietrudno po-
śród przedstawicieli administracji
państwowej, czy przemysłowej. Nie-
rzadko czynnik społeczny bywa tam
uważany za natręta, intruza, zło ko-
nieczne, które tolerowane być musi,
bo takie są ustalenia, wszakże jest
to sprawa czysto formalna; fakty-
cznie kontrola społeczna nie na wie-
le się zda, „bowiem” rzekomo wszy-
stkie sprawy zostały już przez fa-
chowy aparat administracji wszech-
stronnie przemysłane. Ponownie roz-
trząsanie przesądzonych już w
gruncie rzeczy spraw, wnoszenie ich
pod obrady sesji rady narodowej,
czy KSR, stanowi — w rozumieniu
nosicieli owych poglądów — wyrwę
w godzinach wyłożonej pracy urzę-
dników.

Nie brak innych jeszcze spojrzeń
na istotną kwestię współzależności:
aparatu administracyjnego — czynnik
społeczny. Oto niektórzy przedsta-
wicieli administracji gotowi tolero-
wać działalność czynnika społecz-
nego, pod warunkiem uczynienia so-
bie zeń pomocnika, zwłaszcza w roz-
strzygnięciu spraw konfliktowych.

Słyszysz się też nierazko inne jesz-
cze opinie, zgodnie z którymi rola
czynnika społecznego jest jakoby
przejęciowo dość znaczna; polega
ona wszakże wyłącznie na korygo-

Dokończenie na str. 2

Kiedy do walki porwał się lud...

175 rocznica

Powstania Kościuszkowskiego

Z wszystkich powstań, ze
wszystkich zrywów zbroj-
nych w które tak bogata
jest nasza historia, Powsta-
nie Kościuszkowskie najja-
skrawiej wryło się w pamięć potom-
nych. Przekazywane z pokolenia na
pokolenie, wzbogacane nowymi
szczegółami, urastało do miana bo-
haterskiej narodowej legendy.

Cóż sprawiło, że o powstaniu tym,
krótkim i jak większość naszych po-
wstań zakończonym klęską, matki
opowiadały dzieciom, babki wnu-
kom, wnukowie prawnukom? Że
bez uczonych ksiąg i historycznych
dysertacji każde dziecko znało po-
stać Naczelnika i każdy Polak znał
na pamięć szczegóły bohaterskiego
czynu Bartosza, który krakuską za-
krył armatni lont i każdy krok war-
szawskiego szewca Jana Kilińskiego...

Aby odpowiedzieć na to pytanie,
wróćmy na chwilę do lat poprzedza-
jących wydarzenia z marca 1794 ro-
ku. Rzeczpospolita szlachecka chy-
liła się ku upadkowi. „Złota wol-
ność” dająca ogromne przywileje
szlachcie była jednocześnie zapowie-
dź bliskiej niewoli. Warcholskie
liberum veto i torpedowanie wszy-
stkich projektów reform dążących
do poprawy stosunków społecznych
były następstwem tej „złotej wolno-
ści”. Dotyczyła ona, jeśli nawet
przyjął ten termin, tylko warstw
szlacheckich. Jednej dziesiątej całe-
go narodu. Chłop był niewolnikiem,
rzemieślnik ową „pracą hańbiącą”
zajmowali się mieszczaństwo, też ni-
ższa kategoria społeczna. Polska, tak
często wykrzykiwana przez sejm-
ującą szlachtę, oznaczała własne po-
dwórko, własne szlacheckie intere-
sy i przywileje. Kiedy w roku 1764
światli książęta Czartoryscy do-
strzegali grożące Polsce niebezpie-
czeństwo i postulują „nowe światła
polskiego tworzenie”, panowie szla-
chta patrzyła na nich jak na zdraj-
ców. Na sejmie rozbiorowym nie naj-
lepiej zapisani w historii tamtych
czasów, chociaż odważnie występu-
jący za ulżeniem doli chłopu ma-
gnaci, Poniński i Sułkowski, spot-
kali się ze sprzeciwem większości.
W roku 1780 sejm z oburzeniem od-
rzuca postępowy jak na owe czasy
kodeks Zamoyskiego, a „Listy pa-
triotyczne” Wybickiego traktuje się
jak obłędne mrzonki. Postulowane
przez Staszica tworzenie „Rzeczpo-
spolitej narodu Polaków zamiast
Rzeczypospolitej szlachty polskiej”
to dopiero melodia przyszłości.

Jeszcze w roku 1789 wniesiony
przez Ignacego Potockiego pod obra-

dy sejmu projekt „Zasad do popra-
wy formy rządu”, zrodzony z ducha
rewolucji francuskiej, podlega rady-
kalnym cięciom, które kończą się
usunięciem słów „wolność” i „rów-
ność”.

I cóż z tego, że przyjęta z rado-
ścią przez cały naród Konstytucja 3
Maja zaczyna się nagłówkiem: „My,
Stanisław August, z Bożej łaski i z
woli Narodu Król Polski... „kiedy za
słowami tymi nie poszła i z woli
zaborców pójść nie mogła żadna da-
lej idąca reforma czyniąca ów „na-
ród” wyrazicielem swych dążeń.

I oto wybucha powstanie o god-
ność i wolność narodu, w którym ra-
mie w ramie z „wysoko urodzony-
mi” staje chłop i mieszczaństwo, staje
lud polski. Król zostaje odsunięty
od rządów, Prezes Rady Nieustają-
cej i kilku innych dygnitarzy za-
prędzonych carcy zawiązało na szu-
bienicy, z woli ludu zerwano z tra-
dycją bezkarności w stosunku do
możnych zdrajców.

Pod sztandarem Naczelnika idą
chłopi z podkrakowskich wsi. „Wiel-
możnych” i „Jaśnie Wielmożnych”
zastępuje słowo „Obywatel”. Chłop
Bartosza staje się bohaterem narodo-
wym. Szewc Kiliński i mieszczaństwo
Warszawy walczą o oswobodzenie
swego miasta z nie mniejszym zapa-
łem niż „panowie”.

I wreszcie Naczelnik, który po ra-
clawickim zwycięstwie przywdział
chłopską sukmanę, ogłasza 7 maja
1794 roku słynny Uniwersał spod Po-
lańca. „Osoba wszelkiego włościani-
na jest wolna” — głosi ten doku-
ment, a za tym idą postanowienia o
rzeczywistej opiece rządowej nad
chłosem i jego posiadłością. I nie u-
lega dla nikogo wątpliwości, że uni-
wersał oraz rewolucyjny duch Ko-
ściuszkowskiego Powstania pozosta-
wiły trwałe i nieodwracalne ślady
w dziejach narodu, gdyby nie upa-
dek Insurekcji. Było to powstanie —
zrywem nadziei.

Oto dlaczego zapisało się ono tak
trwale w umysłach ludu. Dlaczego
przez dziesięciolecia krążyły opo-
wieści i legendy o powstaniu, które-
go 175 rocznicę obchodzi dzisiaj Lu-
dowa Polska. Oto przyczyny dla
których w domach prostych kmi-
eł i mieszczaństwa z pokoleń na pokole-
nie przekazywany wisi obrazek
Naczelnika w chłopskiej sukmanie.
Oto dlaczego imieniem Kościuszki
nazwano pierwszą dywizję wojska
polskiego, stworzonego do walki z
hitlerowskim najeźdźcą i do kładze-
nia fundamentów pod Polskę ludzi
„wolnych i równych”.

Ryszard Danecki

BALLADA

Cisza równin polarnych —

trzęsawiskiem iskier wybuchu śniegu biel,
przepalają okularów niebieski cień,
parzą oczy odbłaskiem oranżowych tun,

biały niedźwiedź stąpa — śniegu bezgłośnie kłęb,
radiostacja milczy: tu Łoś, hallo, tu Łoś —
od czterystu pięćdziesięciu dwóch godzin już!

Cisza równin polarnych —

w gąbkę śniegu wsiąka białą kałużą krzyk —
echa nie ma, tu ścian nie napotyka głos,
gesty oddziela mroźnego powietrza szkło —

czy zabrzęczał aparatu Morsego klucz?
Nagle bzykanie muchy w dolnej skrzyni ryb —
żar płonącego spirytusu zbudził ją —

Cisza równin polarnych —

bzykanie muchy, radiostacja milczy wciąż,
jak przyjaciele wesolego do ucha szept,
ścian dalekiego mieszkanka popstrzona żółć —

skrzypienie łóżka, pantofli domowych stuk,
żona pieszczotliwie ciągnie za nos, czas wstać,
opędzasz się sennie jak od natrętnych much —

cisza równin polarnych —

Na środek ilgo muchy wyleciała, patrz,
cukru kostkę, wstrzymać oddech, siada na nos,
brzęczy — ziemi dalekiej to jedyny głos —

Cisza równin polarnych —

Biały niedźwiedź stąpa — śniegu bezgłośnie kłęb,
radiostacja milczy: tu Łoś, hallo, tu Łoś —
od pięciuset dwudziestu siedmiu godzin już!

— Muchę nazwijmy Martą — rzekł najstarszy z nich,
— Uważam, że lepiej Oleńki imię by dać...
Trzeci miał jedynaczkę Zofię — wdowcem był,

Cisza równin polarnych —

mucha na policzki siada, je cukier z rąk,
nad płomieniem spirytusu krąży: bzyk, bzyk...
Wtem — wdowca zamyślonego bezmyślny gest —
cisza równin polarnych —
dla mordercy wspomnień żółtych dalekich ścian,
domowego łóżka, pieszczoty żony —
nóż!

Rozdławioną muchę ma na swym czole trup —

Cisza równin polarnych —
cisza równin polarnych —

Z tomu wierszy wybranych „Na opalenie skrzydeł”,
wydanego w tych dniach przez Wydawnictwo Poznańskie.

Przepraszam, czy można...

Z dużym rozbowieniem przeczytałem w sobotnio-niedzielnym wydaniu „Expressu Poznańskiego” (z 15 i 16 bm) listy Czytelników i komentarze bratniego pisma w sprawie piwa w sklepach i kioskach poznańskich. Nie pierwszy raz „EP” zajmuje się tą beznadziejną sprawą i czapkę bym uchylił wobec godnej podziwu wytrwałości i taktu w rozstrząsaniu spraw nie prostych gdyby... Gdyby nie ogólny wydzwitek i kierunek dyskusji, które sprowadzają się w gruncie rzeczy do żądań swoistej prohibicji, zakazu konsumpcji przez wycofywanie sprzedawcy piwa ze sklepów i kiosków. I nic poza tym. To mnie właśnie bawi.

Powiem więcej, by spojrować do dalszych rozwiązań — lubię piwo i nie wylewam też kieliszka za kołnierz, acz w skali nieco mniejszej niż obarcza mnie cudza konsumpcja w rodzinnej statystyce spożycia alkoholu. Przepraszam, a czy Wy jesteście absolutnymi abstynentami? Prowokuję więc, by uświadomić, iż to piwo, wódkę czy wino produkuje się — po pierwsze — nie dla statystyki i planu, lecz właśnie dla spożycia. Owa konsumpcja może nam się wspólnie nie podobać, niewątpliwie z nad użyciem jej należy walczyć, ale — po drugie — nie amerykański mi metodami z lat dwudziestych, wprowadzających całkowity zakaz produkcji i sprzedaży alkoholu. Metody te przyniosłyby przez ciężki odwrotny rezultat! Doprowadziłyby do rozpasania spekulantów oraz całkowitego opanowania przez nich wszystkich słabych ludzi zniewolonych naciągami.

Wydało mi się, że w żądaniach Czytelników „EP” tkwi niczym nie uzasadniona nadzieja, że zamknięcie kiosków z piwem zlikwiduje problem pijactwa. Nic bardziej fałszywego! Prawdy tej dowodzą kolejne alarmy w „EP”, bo spełnione interwencje autorów listów przesunęły jedynie problem o... kilka metrów dalej — za róg, do bramy, albo do prywatnej speluny, dokąd teraz udał się uparci amatorzy „utrwalacza”. I trudno sprzeciwiać się oburzonemu Czytelnikom, działającym w aureoli walki o świętą sprawę rugowania alkoholizmu z naszego życia. W warunkach takiego moralnego nacisku części opinii publicznej nie śmiem wtórować utyskiwaniem, że ja i inni rozsądni piososze nie mamy gdzie wychylić kufelka z pianką. Boję się o tym wspominać choć wiem, że problem tkwi nie w produkcji i sprzedaży alkoholu, ale w jego nadużywaniu. Boję się więc zbyt ostro protestować, choć i mnie też nie odpowiada towarzysztwo zawiązanych przy kiosku.

Zbiłut Sęk

Walka Don Kichota

cym w aureoli walki o świętą sprawę rugowania alkoholizmu z naszego życia. W warunkach takiego moralnego nacisku części opinii publicznej nie śmiem wtórować utyskiwaniem, że ja i inni rozsądni piososze nie mamy gdzie wychylić kufelka z pianką. Boję się o tym wspominać choć wiem, że problem tkwi nie w produkcji i sprzedaży alkoholu, ale w jego nadużywaniu. Boję się więc zbyt ostro protestować, choć i mnie też nie odpowiada towarzysztwo zawiązanych przy kiosku.

Trzeba chyba odróżnić dwie sprawy — konsumpcję i pijactwo. Tymczasem my walczymy właśnie z konsumpcją. Skoro nie ma piwa w sklepie, by zabrać butelkę do domu, skoro nie wolno pić w kiosku, a nie ma piwa i w kawiarni, tacy jak ja — zazwyczaj rezygnują. Ale nie rezygnują ci od „utrwalacza”, wcho- dzą ze swym naciągami do podziemia, w bramę, pod most. Zaczyna się konspiracja w warunkach utajonej i niezmierzonej prohibicji, z powodu nietrafnej interwencji sąsiadów kiosku. Czy to jest jedyny sposób walki, czy taki ma być rezultat świętej wojny z alkoholikami?

Sedno tkwi moim zdaniem głębiej niż sięga skuteczność administracyjnych zakazów. Ośmielam się twierdzić, że alkohol jest dla ludzi. Tylko tych — co znają umiar, swoją granicę, którym nie obca jest kultura picia. Kto jej nie zna, trzeba go tej kultury nauczyć, tą kulturą otoczyć. Tak że przez nacisk opinii publicznej. Ale to już cały problem alkoholizmu i walki z alkoholizmem, którego nie można spro- wadzać tylko do rozmiarów kiosku z piwem.

Ponieważ mądrzejsi ode mnie łamali sobie głowy dla rozstrzygnięcia problemu, ja — przepraszam — rad zbawiennych i eudajnych lekarstw nie przepiszę. Proszę raczej o zabranie głosu na ten temat ludzi znających rzecz znacznie lepiej, więc: lekarzy, socjologów, działaczy społecznych, a także służby porządku publicznego oraz pracowników handlu i gastronomii. Wydało mi się, że w XX wieku nie należy walczyć jak Don Kichot z kioskami, wierząc, że to są główne moce tajemne i właściwi wrogowie błędnego rycerstwa...

dzenia załóg, punktem widzenia konsumentów, punktem widzenia szerszych potrzeb obywatelskich. Wiele zupełnie zbędnych nieporozumień spowodował fakt, że w publikacjach „Polityki” a także niektórych innych pism, zaciemniano i gmatwano płaszczyznę sporu (...) Jakichkolwiek podziałów wzdłuż środowisk społeczno-zawodowych by się nie dokonywało (...) nie doprowadziło to do możliwości wyróżnienia „technokratów” i „niotechnokratów”. Takie mechanizmy zabiegów są tyleż bałamutne, co demagogiczne.

Wyróżnikiem nie są funkcje spełniane w społecznej organizacji pracy — chodzi o to, jak się rozumie te funkcje, jak rozumie się je w kategoriach społecznych i politycznych (...) Technokratyzm to jest koncepcja społeczno-polityczna, koncepcja negocowania równiejszej roli klasy robotniczej i jej partii na rzecz władzy wąskich wyspecjalizowanych elit, ich suwerenności wobec reszty społeczeństwa. To jest koncepcja niekontrolowanej władzy administracji. Podczas gdy koncepcja socjalistyczna zakłada rozróżnianie zarządzania i władzy politycznej...

WIESŁAW PORZYCKI

*) Wyrażona także w toku wspomina- nej w artykule dyskusji na forum Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Spółeczna wielka synteza

Dokończenie ze str. 1

— Jak pani tłumaczy ten wpływ przemysłu na psychikę ludzi?

— Pozostawmy w Kędzierzynie. Praca w Zakładach Azotowych wiąże się z ciągłym zagrożeniem. Każdy zdaje sobie sprawę, że jego zdrowie i życie zależy od innych i że sam za zdrowie i życie innych odpowiada. Wszyscy wiedzą, że ich praca stanowi część pracy ogromnego zespołu. Wiedzą, że się utrwalają we współdziałaniu. Stopniowo ludzie dochodzą również do przekonania, że we współdziałaniu sami potrafią zmienić na lepszą otaczającą ich najbliższą rzeczywistość, przezwyciężyć małe, a może i większe ludzkie kłopoty, które musiały pojawić się w małym osiedlu podniesionym nagle do rangi jednego z gigantów polskiej nowoczesnej chemii.

Oglądałam ciekły tlen — coś urze- kająco pięknego. Robotnik przyniósł ciecz w starym, brudnym, powygi- nanym wiadrze. Pomyślałam, że tkwi tu metafora — skoro posiadamy tak piękny i cenny płyn, nie- tak już trudno postarać się, aby zna- laził się on w lepszym wiadrze.

— W jakiej mierze wprowadziła pani do powieści materiał z kędzierzyńskich obserwacji, albo inaczej — ile w książce lite- rackiej fikcji?

— Tło starałam się oddać z re- portażową wiernością, autentyczny jest główny wątek, za postacią dok- tora Waryniaka kryje się sprawa znana w Kędzierzynie i nie tylko w Kędzierzynie.

— Jeśli dobrze odczytałam całkowitą sympatią autorską dla- rzy pani bohatera zbiorowego — kędzierzyńską społeczność, zało- gę Azotów. W każdym razie za- den czytelnik nie chciałby utoż- samiać się z którymś z bohaterów indywidualnych, cho- ciaż na pewno wszyscy solidary- zują się mniej lub bardziej z po- stępowaniem Anny.

— Z moralnego punktu widzenia interesowały mnie dwa problemy: jeden, ilustrowany postacią Wary-

niaka, objawiający się tym, że ktoś nie wchodzi w kolizję z prawem, ale popełnia łajdactwo. Szkodliwość społeczna takiego łajdactwa nie da się z niczym porównać. Problem drugi, ilustrowany postacią Witolda, polega na obojętności człowieka wo- bec tego, co dzieje się na jego o- czach, zimnego dystansu. I bardziej chodzi mi o szansę przekształcania Witoldów niż o zwalczanie Wary- niaków. Gdy nie będzie Witoldów, to i Waryniacy nie znajdą sprzyja- jących warunków do popełniania łajdactw.

— Z kolei Anna to typ współ- czesnej „siłaczki”...

— „Siłaczki” poddawanej wiel- ki próbnym, na przykład próbie osa- motnienia, ale o tyle innej od dzie- więtnastowiecznego wzoru, że w końcu znajdującej społeczne opar- cie.

— Sama Anna nie umie jed- nak szukać tego oparcia.

— Dlatego unikam generalnych ocen postaw moich bohaterów. Chy- ba zamierzałam zaproponować czy- telnikom, aby zastanowili się, co w każdym z nas z Anny, co z Witolda, co w końcu z Waryniaka.

— Nie pytam już o przyjęcie książki w Kędzierzynie — o uzna- niu czytelników świadczą przy- jęcie pani przez Konferencję Sa- morządową Robotniczego „Azotów” na honorowego członka załogi i honorowego członka Związku Za- wodowego Chemików. Podobne- go zaszczytu nikt przed panią nie dostąpił...

— Ale nie wyobraża sobie pan, jak bałam się spotkania autorskie- go w Kędzierzynie tuż po ukazaniu się „Wiadra pełnego nieba”. Istot- nie wybuchł gorący spór między uczestnikami, którzy podzielili się na dwa obozy. Z satysfakcją wspo- minam, że na zakończenie prze- wodził pogląd, pod którym jak najchę- tniej się podpisuje: nie ukrywajmy- zła tkwiącego w najbliższym nam środowisku, bo zło, a nie odkrycie prawdy, obraca się przeciw środo- wisku.

Rozmawiał

WOJCIECH BURTOŃ

Bergman demokratyzuje teatr szwedzki

W Królewskim Teatrze Dramatycz- nym w Sztokholmie wystawiony zo- stał ostatnio „Woyzeck” w opraco- waniu Ingmara Bergmana. Nowo- ściami były warunki, w jakich przygo- towany został spektakl, a które od- powiadały zasadzie „otwartych drzwi”. Bergman dopuścił bowiem publiczność do udziału w próbach. Dla około 150 widzów kazal zbudować podesty na scenie, a także spe- cjalne ścianki działowe, odgradzają-

ce aktorów i publiczność od reszty sali. Dzięki temu zyskał warunki in- tymności, w których aktorzy grają pośrodku widzów, spotykają się z nimi w czasie przerw, dyskutują, obserwują wzajemne reakcje. Cho- cież obecność na próbach jest płat- na, cieszą się one wielkim powodze- niem.

Bergman nie przypisuje sobie au- torstwa inicjatywy, a powołuje się na przykład Molière, który również dopuszczał widzów do prób niekto- rych swych sztuk. Intencją reżysera jest bliższe związanie publiczności z pracą teatru, pozyskanie nowych ka- tegorii widzów. Celowi temu służy także odwołanie się do snobistycz- nej widowni premierowej, bowiem „Woyzeck” wszedł do repertuaru bez próby generalnej i premierowej gali z uroczystym ceremoniałem i wyfra- czoną publicznością. (PAP)

Przeglądamy Prasę

Relacjonowaliśmy na naszych łamach kilka publikacji na temat działalności tzw. „komandosów” w związku z ich procesami sądowymi. W „Prawie i Życiu” Maria Osiadacz pisze obecnie na temat kolejnego tego typu procesu; chodzi o Antoniego Zambrowskiego oskarżonego o to, że przechowywał i rozpowszechniał różne publikacje, w tym również własne, o treści antypaństwowej oraz o to, że publicznie po- niżał naród polski. A. Zambrowski — przypomnijmy — skazany został na 2 la- ta więzienia. Autorka publikacji w „Prawie i Życiu”, zatytułowanej „Meta- morfozy” uwypukla zwłaszcza to, że A. Zambrowski działał zgodnie ze zna- mienną postawą: „wrogim naszym nie jest ten, kto ma inne poglądy, lecz ten, kto przez swą działalność popiera i afirmuje istniejący stan rzeczy”.

Charakterystyczne dla działalności A. Zambrowskiego są zwłaszcza jego metamorfozy: pretendując do roli przy-

wódcy i kaptując zwolenników, nie da- rował sobie nawet ślubu kościelnego, gdy chodziło o nowiżanie porozumie- nia z konserwatywnymi klerikalami. Demonstracyjnie objawiał — zależnie od okoliczności — różnorodne swo- je uczucia: gdy swoim słuchaczom ser- wował oblicze katolika — na ścianie po- koju wisiał obraz Chrystusa; gdy uślo- wał nakłonić do trockizmu — patro- nowała dyskusji fotografia Trockiego; gdy w dniach agresji Izraela deklaro- wał swoje proarabskie stanowisko — na biurku stawiał portret Nassera.

„Te zbyt gorące deklaracje — pisze Ma- ria Osiadacz — czasem zresztą szkodziły mu w stosunkach z bliższymi znajomy- mi, związanymi z nim „zainteresowan- mi naukowymi”. Któryś z rzędu świad- ków podkreślił bowiem na odmianie: „te de- klaracje patriotyzmu, nadręczności inte- resów narodu polskiego — wydawały nam się zbyt demonstracyjne”.

Budziłyby te wszystkie zabiegi Zam- browskiego, te jego metamorfozy li ty- loko obrzydzenie, gdyby nie to, że wiodły one do ściśle określonego celu. A cel ten zbliżył był z celami „komandosów”, co wyraził on dosadnie i już bez osłonek w dniu 8 marca. Chodziło o wywołanie demonstracji nie tylko studenckich, cho- dziło o zamach na ustrój, na władzę i według pobożnych, a nie spełnionych ży- czeń Modzelewskich i Kurońskich o prze- chwytnie władzy, w myśl tego, co os- karżony głosił publicznie, że „Polacy po- zbawieni są uzdolnień intelektualnych w zakresie organizowania życia polityczne- go i tworzenia kultury”.

On dopiero miał pokazać narodowi, jak się tworzy organizm państwowy, jak się realizuje model gospodarczy — oczy- wiście jego model — jak się tworzy kul- tura narodowa. Bo do wszystkiego, co na- ród stworzył, co zbudował, co zrealizował w trudzie i z czego ma prawo być dum- ny, oskarżony czuł tylko pogardę.

Przed sądem powiedział, że nigdy nie miał obsesji antystowiańskiej.

Ale współpracownicy Zambrowskiego przytaczają treści dyskusji, w których zabierał głos, poniżając naród polski, go- sząc tezę ogólną, że „Stowianie są ludź- mi o tępym umyśle” i szczegółowe, w których wyluszczał, że np. sami Polacy nigdy niczego sami nie stworzyli. Ani hi- storii, ani kultury, ani cywilizacji.

Kto więc tworzył historię naszego na- du, kto stworzył kulturę — dzieła sztuki, literatury, malarstwa, muzyki?

Zambrowski oczywiście odpowiadał na te pytania. Odpowiadał tak, że mimo u- pływ czasu świetnie to pamiętają ko- ledzy z pracy (św. św. L. Pańczak, St. Leszek, B. Tejkowski). Wywoływały bo- wiem te sformułowania taki sprzeciw, że próbowano interweniować w kierowni- ctwie Instytutu.

Zaświadczają o wrogim, pogardliwym stosunku oskarżonego do narodu polskie- go nie tylko świadkowie. Wymowne i je- dnoznaczne są cytaty z jego własnych „dzieł”, gdzie obok pogardliwych pasz- kwilankich określeń ustroju i władzy państwowej znajdują się akapity, w któ- rych imputuje narodowi polskiemu po-

głądy i czyny, stojące w sprzeczności z humanizmem narodu.

Wymowne są i inne dowody. Oświad- czenie Zambrowskiego dla Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partii, w którym wyko- zył swoje poglądy — o antypaństwowej treści — stało się tematem audycji roz- głośni „Wolna Europa”. Oskarżony nie przyznając się do przekazania tego tek- stu RWE nie może jednak zaprzeczyć, że w Instytucie pilnie informował kolegów, iż taka audycja była nadana i ponownie nadana zostanie. Chyba tego faktu nie trzeba już komentować.

Z przebiegu tego procesu nasuwa się wiele refleksji, a jedna szczególnie.

„Wśród grupy „komandosów” — pisze autorka — było wielu młodych ludzi. Ale Modzelewski, Kuroń, Zambrowski to wszakże ludzie już dojrzały. Po trzydzie- stce.

W reporterskich wędrówkach spotka- my się często z pokoleniem trzydziesto- latków. Są kierownikami wielkich bu- dów realizowanych w kraju, są dyrekto- rami fabryk i kopalni. Piącą krajowi za możliwości studiów, za pozycję społeczną, którą dano im zająć — rzetelnym trudem i wysiłkiem.

Co dali krajowi, co dali narodowi Mo- dzelewski, Kuroń i Zambrowski? Nic — prócz nienawiści.

Zwróćmy jeszcze uwagę na kilka in- nych ciekawych publikacji. KTT pisze w „Kulturze” (felieton „Jubileusz knaja- ka”) o dewaluacji niektórych jubileuszy,

nie tych wielkich i nie podlegających dyskusji, lecz tych, co są obchodzone gwołi podkreślenia trwałości jakiejś in- stytucji, niezależnie od tego, czy związa- na jest z nią wartość osiągnięć i rzetel- ność dorobku.

Sześć pism — „Argumenty”, „Itd”, „Sztandar Młodych”, „Walka Młodych”, „Zarzewie” i „Żołnierz Polski” — ogła- szają konkurs z tytułowania: „Wobec przyszłości. Obywatelskie exposé mło- dych”. Jest to konkurs na wypowiedzi, zwierzenia, refleksje, szkice, artykuły itp., które by odpowiadały na pytanie: jak- ką pragnę widzieć Polskę Ludową w na- stępnym 20-leciu i jaki wniesie swój wła- sny wkład do jej rozwoju? Jak sobie ten rozwój wyobrażam w gospodarce, oświa- cie, kulturze, w przemianach społecznych i stosunkach między ludźmi, sprawności, sile i obronie państwa.

Do dyskusji o niedawno zakończony- serii filmowej pt. „Stawka większa niż życie” włączyło się „Itd” prezentując publikację „Kłoss czy Święty?”, w któ- rej Andrzej Łarski widzi doniosłe zna- czenie „Stawki” w tym, iż ona i jej po- dobne filmy są odtрутką na zachodnie serie o ludzkiej opaniewających w do- brobyt, korzystających bez ograniczeń z życia, o ludziach, których trudno sta- wiać za wzór do naśladowania.

W „Tygodniku Demokratycznym” Ma- ria Turlejska rozpoczyna cykl szkiców na temat wcześniejszego okresu działalności AK, od jesieni 1939 do wiosny 1944. W „Prawie i Życiu” Albin Mironczuk w ob- szerszej publikacji przedstawia nowy sy- stem urlopów w Polsce.

LEKTOR